

Chciałam być misjonarką

Przyjechaliśmy do Miechowic na Górnym Śląsku w piękny, słoneczny, jesienny dzień. Zbliżając się do domku Matki Ewy na terenie ośrodka „Ostoja pokoju” miałam wrażenie, że moje nogi stąpają po ziemi uświęconej pokorną służbą, modlitwami i oddaniem Panu wielu wspaniałych, bogobojnych i szlachetnych ludzi, z Matką Ewą von Tiele Winckler na czele, przez których od 1888 Pan Bóg czynił wielkie rzeczy. Jednak nie Matka Ewa będzie główną bohaterką poniższej rozmowy, zaś tych wszystkich, którzy jeszcze nie poznali sylwetki tej Bożej niewiasty i dzieła, które Pan przez nią czynił, gorąco zachęcam do sięgnięcia po literaturę przybliżającą tę niezwykłą postać*. Obecnie w Domku mieszka, opiekuje się nim i oprowadza po nim gości Siostra Marta Grudke, która powitała nas przy furtce swoim ciepłym uśmiechem.

S. Marta Grudke: To pomieszczenie jest tak zachowane, jak wyglądało za życia Matki Ewy. Tu spotykały się siostry na modlitwy, tu podejmowano decyzje, wysyłano pierwsze siostry do misję.

IDŹCIE: *Większość wyposażenia wnętrza stanowią bardzo proste sprzęty i książki, dużo książek.*

S.M.: Tak, to pamiątki z rodu Tiele Wincklerów, ze strony ojca. Matka, katoliczka, czytała dzieciom Pismo Święte. To stara Biblia Lutra z 1649 roku, a tutaj jest Biblia, którą używała Matka Ewa. Leży w kąciку, gdzie odbywały się rozmowy duszpasterskie, na które przychodziło do Matki Ewy wielu ludzi.

I.: *Na drzwiach widzę mapę Chin i stary folder Africa Inland Mission, a z tyłu na ścianie piękną makatkę z tekstem, chyba chińskim.*

S.M.: Tak, jest wiele pamiątek z dawnej pracy. Niedawno odwiedzała to miejsce grupa gości. Był między nimi pewien skośnooki człowiek. Na widok tego napisu jego twarz rozpromieniła się. Zobaczył w obcym kraju napis w swoim języku ojczystym. Kiedy przychodzą tu grupy dzieci, robię im mały żart i pytam, czy chodzą do szkoły. Wszystkie zgodnie przytakują i wtedy proszę ich o przeczytanie tego napisu. Z szeroko otwartymi oczami mówią: „Nie, tego nie jesteśmy w stanie przeczytać”.

I.: *Pod oknem stara fisharmonia, a tutaj stoją małe krzeselka. Do czego służyły?*

S.M.: Na tym instrumencie grała jeszcze Matka Ewa. Krzeselka były dla dzieci, często tu przychodziły, a jeśli któreś chorowało, to też przynoszone było tutaj. Na tym fotelu Matka Ewa siadywała i tu umarła. Odeszła, gdy miała zaledwie 64 lata. Była chorowita od dziecka, Wiele czasu spędzała w samotności i dużo czytała, ale **Pan Bóg wybiera słabych ludzi, którzy nie mogą budować na swojej sile i używa ich jako swoje narzędzia.** Ktoś z nauczycieli przyniósł jej kiedyś Nowy Testament. Zaczęła czytać Ewangelię Jana. Przemówił do niej szczególnie fragment o Dobrym Pasterzu. Zastanawiając się nad nim stwierdziła, że ona nie znała głosu Pasterza, nie znała osobiście Pana Jezusa. Wtedy, w samotności powierzyła swoje życie Panu. Powiedziała: „Panie Jezu, chcę być Twoją własnością, chce Ci służyć wśród tych najbiedniejszych”.

I.: *Wszystkie sprzęty są niesłychanie proste. Można powiedzieć, że nie można żyć bardziej skromnie.*

S.M.: Zrezygnowała z życia w zamku, z całego bogactwa, z wygód. Ten kołowrotek też należał do niej i sama na nim przedła. Dużo pisała, ale jej najważniejszą pracą była modlitwa.

I.: *Czy Matka Ewa miała jakiś szczególny, ulubiony tekst biblijny?*

S.M.: Tak. Ten najważniejszy zapisany jest w Księdze Izajasza w 58:7,8 - „Lecz to jest post, w którym mam upodobanie: że się rozwiązuje bezprawne więzy, że się zrywa powrozy jarzma, wypuszcza na wolność uciśnionych i łamie wszelkie jarzmo, że podzielisz twój chleb z głodnym i biednych bezdomnych przyjmiesz do domu, gdy zobaczysz nagiego, przyodziejiesz go, a od swojego współbrata się nie odwrócisz”. Miała też inne, na przykład, jeden z nich, podkreślony,

odkryłam przypadkiem przeglądając niedawno jej Biblię. Posiadała kilka Biblii, jedną ktoś z bliskich wzięł, ta leży tutaj, a jeszcze inna, to taka mała, którą otrzymała od pewnego misjonarza pracującego w Rosji.

I.: Siostrzo Marto, cieszymy się, że w końcu mogliśmy zrealizować nasze marzenie i odwiedzić siostrę oraz to wyjątkowe miejsce.

S.M.: Już się z Panem targowałam, mówiłam Mu, że już jestem do niczego, dlaczego mnie nie zabiera do Siebie, ale On ma, jak zawsze, swój plan. Ostatnio, w związku z obchodami rocznicowymi Bytomia zaczęli szukać ludzi, którzy się dla miasta zasłużyli. W związku z tym miałam tu tyle wycieczek, że nieraz nie miałam czasu zjeść obiadu.

I.: Pozwól sobie zadać bardziej osobiste pytanie. Co Siostrę skłoniło do osobistego poświęcenia się tej „pełnoetatowej” służbie?

S.M.: Ja jestem dzieckiem wojny. Urodziłam się 77 lat temu. (Dokładnie dzień wcześniej Siostra Marta świętowała swój jubileusz, od red.). Widziałam to wszystko, co się działo, choć miałam dopiero 10 lat. Po wojnie wiele kościołów ewangelickich zostało pozabieranych, a my zaczęliśmy tracić nasze poczucie przynależności. Znalazłam pracę w szpitalu w Tomaszowie. Pracujące tam zakonnice próbowały mnie nawracać, głosząc, że jedynie zbawiającym kościołem jest kościół katolicki. Wtedy zaczęłam się pytać, gdzie jest prawda. W kuchni szpitalnej byłyśmy tylko we czwórkę i pracowałyśmy ciężko od szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Tylko jedną niedzielę w miesiącu miałyśmy wolną. Moi rodzice mieszkali koło Kuluszek, a kościół był w Łodzi. Musiałam wybierać. Jak jechałam do kościoła, to zwykle zostawałam jeszcze na popołudniowe spotkanie młodzieżowe. W szpitalu, przez naszą kuchnię przechodzili franciszkańscy zakonnicy. Jeden z nich często pytał mnie, kiedy przyjdę do spowiedzi. W końcu powiedziałam mu, że ja tam nie chodzę. „To masz sumienie czarne jak kot” – powiedział. A ja na to – „Ale są i białe koty”. Dał mi spokój, ale ja zadawałam sobie coraz więcej pytań i zaczęłam się modlić prosząc Boga, by mi pokazał gdzie jest Prawda.

I.: Jak Pan Bóg odpowiedział na tę modlitwę?

S.M.: Zostałam zaproszona przez „JaTu” Kotulę do Dziegielowa na Ewangelizację. Nie bardzo wiedziałam, co to jest ewangelizacja, ani gdzie leży Dziegielów. Zbliżała się Wielkanoc. Nie miałam pieniędzy na podróż, nie miałam wolnego. Moja koleżanka z pracy, co prawda, zaoferowała się ze mną zamienić, ale nadal potrzebowałam dwa dni na podróż. Była sobota. Coś mnie ciągnęło na ten wyjazd. Poszłam do naszego dyrektora, aby prosić o pozwolenie, ale był zajęty. Trzy razy do niego wchodziłam, ale stale byli u niego inni ludzie. W końcu zrezygnowałam, bo widziałam, że i tak mój ostatni autobus zaraz odjeżdża. I wtedy moja przełożona kazała mi szybko pobiec i zawołać dyrektora na obiad. Rzadko jadał w szpitalu, a w soboty nigdy. Pobiegłam do niego, a on w swój dosyć gburowaty sposób najpierw mnie pyta: „A ty, czego chcesz?”. „Potrzebuję wolne na konto mojego urlopu oraz zaświadczenie pozwalające na pobyt w pasie nadgranicznym” – wypaliłam. No i pieniądze! Wyobraźcie sobie, że dostałam wszystko w ciągu piętnastu minut! W czasie, gdy moja koleżanka poleciała kupić bilet, błyskawicznie się ubrałam i w drogę. Z perypetiami, z przesiadkami. W Kuluszkach dołączył do mnie jeszcze jeden młody człowiek, którego znałam za spotkań młodzieżowych. Wyszliśmy na peron, on wyciągnął harfę, Biblię i zaczął głośno śpiewać. Czułam się skrępowana, ludzie się oglądali, niektórzy mnie znali. Noc spędziliśmy w potwornie zatłoczonym pociągu, wypełnionym pijanymi, w przejściu między wagonami, pomiędzy dwoma harmonijkowymi drzwiami. W drodze, mój towarzysz zaczął mi opowiadać o Miechowicach, o siostrze Aurelii. Wcześniej zetknęłam się z tą nazwą w małej broszurce o różnych mężach i niewiastach Bożych, wydanej chyba przez Armię Zbawienia. Przyglądałam się mojemu towarzyszowi podróży i spostrzegłam, że to nie ta sama osoba, którą znałam wcześniej. Dotarłam do Dziegielowa po 24 godzinach podróży. Wykład prowadził brat Gawlas. W przerwie, podczas rozmów wszyscy mówili o Miechowicach.: To było zastanawiające. Znowu Miechowice. Na zakończenie ks. Sikora ogłosił, że w lipcu w Miechowicach odbędzie się Tydzień Ewangelizacyjny.

I.: Kiedy to było?

S.M.: To był 1952 rok. Postanowiłam, że muszę tam pojechać! Znowu perypetie z urlopem, ale udało się. Wykłady były w drewnianym baraku. W naszym baraku mieszkała Siostra Jadwiga. Rano, podchodziła do fisharmonii i zaczynała grać pieśń: „Jezus cicho puka rano...”, a wszystkie dziewczęta wychodziły za swoich pokoi i gromadziły się koło niej, śpiewały ją do końca, potem modliłyśmy się. Po śniadaniu zaczynały się wykłady, jeden za drugim, zmieniali się tylko mówcy. Potem jeszcze spotkania w grupach. Pamiętam, że Siostra Jadwiga miała mocne wykłady. Wykłady prowadziła także Siostra Aurelia. Miała powołanie do pracy misyjnej, ale ponieważ jako dziecko miała gruźlicę kości, lekarze stwierdzili, że nie może wyjechać do gorącego klimatu. Skończyła ona prowadzoną przez Sud Ost Europa Mission Szkołę Biblijną w Bukowinie, a zachęcona przez Matkę Ewę, przysłała do Miechowic.

Po kilku dniach, chciałam osobiście porozmawiać z Siostrą Jadwigą, ale tyle było chętnych, że weszłam do niej dopiero o 23.00 i tylko dlatego, że moja koleżanka mnie tam wyciągnęła. Bałam się, że tydzień się skończy, a ja wyjadę do domu pusta. Równoległe, w kaplicy ośrodka młodzież sama od siebie zgromadzała się w grupach na modlitwy. Bałam się tego miejsca. Rano i wieczorem spotykali się tam na modlitwy i świadectwa. Szczególnie poruszały mnie świadectwa ludzi nawróconych. Jednego dnia, niespodziewanie moje koleżanki wciągnęły mnie do kaplicy. Na drżących nogach weszłam, poszłyśmy do samego przodu, otoczyły mnie, ukłękłyśmy i zaczęły się o mnie modlić. Wtedy Pan otworzył moje duchowe oczy. Zobaczyłam, w jakim jestem stanie. Zrozumiałam, że jeśli nie przyjmę Go teraz, to zginę wiecznie. Zaczęłam się modlić. Wtedy przyjąłam Pana Jezusa. Na drugi dzień, radosna poszłam do kaplicy. Po modlitwie podeszła do mnie Siostra Aurelia i życzyła mi wytrwania w Panu. Kolejne dni leciały mi już za szybko. Tuż przed odjazdem byłam świadkiem rozmowy dwóch sióstr. Mówiły one: „Na diakoniszę trzeba mieć powołanie, jeśli go nie ma, to bardzo szybko się odejdziesz”. Zaczęłam się zastanawiać, czym jest powołanie?

Przed wyjazdem przyznałam się Siostrze Aurelii, że obawiam się wyjeżdzać, bo nie wiem czy się sama ostoję, bez innych wierzących w pobliżu. Zaproponowała, że mogę przeprowadzić się do Miechowic, znaleźć tu pracę i przychodzić na spotkania. Czekala mnie jednak rozmowa z rodzicami. Byłam jedynaczką i nie chciałam bez ich błogosławieństwa podejmować ważnych decyzji. Oprócz formalności związanych z pracą, warunkiem potrzebnym do przeprowadzki postawionym przez Siostrę Aurelię była zgoda rodziców. Napisała też w swoim liście, że Pan pobłogosławi rodziców, którzy swoje dziecko oddają w Jego służbę. W nagłówku listu były słowa Pan Jezusa: „A ty pójdz za mną”.

Staralam się w międzyczasie o przyjęcie do szkoły pielęgniarskiej, ale ze względu na pochodzenie (wówczas w formularzu podaniowym trzeba było zaznaczyć wyznanie, a ponieważ podałam ewangelickie, więc utożsamiono to z narodowością niemiecką) do szkoły nie zostałam przyjęta. Podobnie potraktowano moje starania o przyjęcie do szkoły dietetyczek. Kiedy złożyłam podanie o zwolnienie mnie z pracy, nagle całe niebo się otworzyło, obiecywali mi wszystko! Mieli do mnie wielkie zaufanie i chcieli za wszelką cenę zatrzymać, ale tym razem ja powiedziałam: „Nie”. Pojechałam do domu po zgodę rodziców, co wcale nie było łatwe, zwłaszcza, jeśli chodzi o ojca. Mama poleciła mi przeczytać list z Miechowic. Była zdziwiona i mówiła: „Ty i diakonisa! To dwie różne rzeczy.” Byłam strasznym wesołkiem. Tata milczał. Skoro się nie sprzeciwił, uznałam to za zgodę.

I.: A potem?

S.M.: Po dwóch tygodniach dostałam wypowiedzenie z pracy i przyjechałam na Śląsk. Brałam udział w spotkaniach młodzieży, Siostra Aurelia prowadziła godziny biblijne, na które wtedy chodziła głównie młodzież, z Gliwic, Bytomia, Zabrze i okolic. Prowadziła też z nami studia biblijne ze Starego Testamentu. Moje czepkowanie planowano na Sylwestra, po trzech miesiącach pobytu w Miechowicach. Miałam już uszyty strój, ale plany się zmieniły. Po jednym ze spotkań modlitewnych, S. Aurelia wyciągnęła list, w którym proszono o przysłanie zastępstwa dla jednej z sióstr warszawskich. Matka Ewa nigdy nie wysyłała do służby jednej siostry, zawsze dwie, aby miały społeczność. „Jedną będzie Siostra Klara, a drugą” – tu zrobiła przerwę i zwracając się do

mnie, powiedziała - „Od dzisiaj jesteś Siostrą Martą, jutro otrzymujesz czepek i wyjeżdżacie na placówkę, tak jak to Matka Ewa robiła.” Nogi mi się ugięły.

I.: Cieszyła się Siostra?

S.M.: Tak, tylko to przyszło tak nagle i trochę bałam się Siostry Klary, bo była bardzo energiczna. Następnego dnia po południu odbyłam długą rozmowę z Siostrą Aurelią, właśnie tutaj w domku Matki Ewy. Siostry modliły się o mnie, nałożono mi czepek i potem z całego serca śpiewałam pieśń: „Wszystko Tobie dziś oddaję”. Zawsze potem, gdy śpiewano ją bez większego zaangażowania, wydawało mi się to takie bezmyślne. Ja przeżyłam to bardzo głęboko.

Siostry pomogły mi skompletować moje skromne wyposażenie, (brakowało mi nawet czarnych butów więc pojechałam w brązowych) i tak zaczęła się moja służba. Najpierw pracowałam w Warszawie, w „Tabicie”, gdzie kucharka przywitała mnie słowami: „Oj, jeśli siostra w tym stroju rok wytrzyma, to...”, zaś ks. Michelis na powitanie powiedział: „Jest źle, a będzie jeszcze gorzej”.

I.: Niezbyt zachęcający wstęp na początek pracy diakonijnej.

S.M.: Pamiętam jak na ostatnim spotkaniu braterskim, na które przyjeżdżali aż z Cieszyna, brat Król powiedział do mnie: „Życzę Siostrze, żeby się Siostra nigdy nie rozczarowała do Pana Jezusa!” To było dopiero pół roku po moim nawróceniu.

I.: Czy teraz, po wielu latach oddanej służby pamięta Siostra jakieś momenty rozczarowania?

S.M.: Początek był trudny. Trzeba było zupełnie zmienić styl życia, wydawało mi się, że jestem do niczego, że zawodzę, nawet plewienie w ogrodzie szło mi bardzo wolno. Obawiałam się, że mnie odeślą do domu, ale Pan przez sen darował mi przeżycie, które wyleczyło mnie od uczucia strachu przed niepowodzeniem.

Z „Tabity” przyjechałam na Tydzień Ewangelizacyjny i od razu zostałam przeniesiona na drugą placówkę do Zachełmia. Całą noc stałam w pociągu do Jeleniej Góry, dalej wymieniali tory, więc trzeba było iść pieszo do Cieplic, potem kawałek tramwajem do Podgórzyna, a potem znowu około godziny do naszego domu „Marzenie”. Tam zaczęła się moja szkoła życia i wiary. Tak się złożyło, że nigdy wcześniej nie gotowałam, a tam, od razu pierwszego dnia stanęłam przy kuchni i miałam gotować dla 40-tu osób. Mieszałam w garnkach i modliłam się. Wtedy nauczyłam się modlić.

I.: Służba sióstr miechowickich związana była z opieką nad starszymi i dziećmi, ale jednocześnie prowadzona była praca ewangelizacyjna i misyjna.

S.M.: Każda z nas miała swoje zajęcie, ale świadczyć musi każdy, jeśli jest człowiekiem wierzącym. Nasz zapał był stale podsycony inspirującymi wykładami Słowa Bożego Siostry Aurelii. Ona też roznieciła w nas miłość do Izraela. Pamiętam, jak z zapartym tchem słuchałam relacji Brata Provera z wyjazdu do Ziemi Świętej. Proverowie mieszkali w Chorzowie, bywali u nas w Miechowicach, gdzie zresztą przyjeżdżali ludzie z różnych społeczności. Matka Ewa była otwarta na wszelkie ugrupowania wierzących, obojętnie jakiej nazwy i w tym duchu wychowywała siostry. Uważała, że wolno nam iść wszędzie tam, gdzie głoszone jest Słowo Boże. Nie było ograniczania się do jednej denominacji i uważania innych za sekciarskie. Matka Ewa była ponad tym. Pastor, który był w ośrodku za czasów Matki Ewy, chodził na spotkania tam, gdzie obecnie spotykają się wierzący ze Zboru Wolnych Chrześcijan. Podobnie, gdy zgłaszały się nowe kandydatki, zasadniczym pytaniem było: „Czy miłujesz Pana Jezusa i chcesz służyć w Jego Imieniu?”

I.: Wcześniej mówiłyśmy już o misyjnym powołaniu Siostry Aurelii. Jej marzenie wyjazdu do tropików ze względu na zdrowie nie mogło być zrealizowane, ale Pan Bóg w mocny sposób używał jej tutaj, w Polsce. Była misjonarką. W książce pt. „Matka Ewa” znalazłam notatkę, że z ośrodka w Miechowicach w pierwszej dekadzie dwudziestego wieku wyjechało sporo sióstr do pracy misyjnej poza granicami Polski.

S.M.: Tak, jechały tam, gdziekolwiek ich wzywano. Zwracano się do Matki Ewy, która zgromadzała nas na społeczność w pokoju naprzeciw, czytała siostrom list, potem modlono się i miały zgłosić się te siostry, które odczuwały Boże powołanie do wyjazdu. Nie zaczynałyśmy wtedy od szkół i uczelni, ale od kolan i modlitwy. Siostry wyjeżdżały, a że podróż do Chin trwała trzy miesiące, to na statku uczyły się języka. Były stale otoczone łańcuchem modlitw. Z chwilą wyjazdu, w kaplicy rozpoczynały się dyżury modlitwy. Siostry ustalały między sobą czas, a potem dzień i noc trwały modlitwy przez te miesiące, kiedy trwała podróż aż do chwili, gdy nadszedł pierwszy list! Nieustanne modlitwy.

I.: Do jakich innych krajów udawały się siostry?

S.M.: Chiny były pierwsze, a potem były Indie, Egipt, Izrael, Gwatemala, Uganda, Liban, Australia, Wyspy Salomona, Persja i inne. Tutejszy diakonat był międzynarodowym, były w nim przede wszystkim Niemki, ale też Polki, Szwajcarki, Angielki, Holenderki, a nawet jedna Laponka i Chinka. Kiedy Matka Ewa była już umierająca, miały przyjechać na urlop siostry z misji w Chinach. Wtedy, ze względu na koszty, do kraju przyjeżdżało się najwyżej raz na siedem lat. Normalnym kursem statku siostry nie zdążyłyby, ale z powodu awarii, musiały przesiąść się na inny statek, który przypłynął dwa tygodnie wcześniej i tym samym siostry jeszcze zobaczyły się z Matką Ewą, a dziewczyna z Chin, jako ostatnia, osobiście otrzymała czepkę z rąk Matki Ewy.

I.: Na czym polegała służba sióstr w Chinach?

S.M.: Przede wszystkim zakładały szkoły i prowadziły pracę alfabetyzacyjną, zajmowały się dziećmi, uczyły dorosłych pisać i czytać, zajmowały się chorymi i biednymi, i oczywiście ewangelizowały i głosiły Słowo Boże. W Indiach siostry pracowały głównie z dziećmi. Wykupywały dziewczynki, które prawie w ogóle się tam nie liczyły. Te małe dziewczynki często dostawały się do świątyn hinduistycznych, gdzie czekał je smutny los. Ośrodki misyjne musiano otaczać wysokim murem, aby dziewczynki z powrotem nie uprowadzano. Oprócz tego były też domy dla dzieci chorych, niewidomych. Siostry świadczyły życiem, czynem i słowem.

I.: Wielu chrześcijanom znana jest postać Hudsona Taylora, wielkiego misjonarza do Chin, ale niewielu wie o tym, że Matka Ewa spotkała się z nim osobiście w Szwajcarii, w 1900 roku. Spotykała się zresztą z wieloma innymi znanymi misjonarzami.

S.M.: Tak. Prawdopodobnie miało to wpływ na późniejsze zaangażowanie się sióstr w misję na świecie. Później, w 1909 roku, podczas podróży w północnej Afryce, spotkała jeszcze synową Howard Taylor, która prosiła Matkę Ewę o prowadzenie misji wśród górników w Miao, w Chinach. W 1911 roku, w Londynie, Matka Ewa wraz z kierownictwem Misji Wewnętrznej Chin omawiała już szczegóły pracy misyjnej sióstr w Chinach. Osobiście dane mi było spotkać siostrę Elizę, która wysłana przez Matkę Ewę w 1930 roku pracowała w Gwatemali aż do roku 1953-go. Potem przyjeżdżała czasem na Tygodnie Ewangelizacyjne do Dziegielowa.

I.: Po wojnie, po wysiedleniu stąd większości sióstr i podopiecznych do Niemiec, praca nadal była prowadzona, choć w o wiele skromniejszym zakresie. Czy w czasach powojennych istniały jakieś możliwości zaangażowania się w misję poza krajem? Na ile to pragnienie pozostało tylko w marzeniach?

S.M.: (Uśmiech) Opowiem o sobie. W pierwszą rocznicę pobytu w diakonacie, Siostra Aurelia przy grobie Matki Ewy zapytała mnie, kim chciałabym być. Powiedziałam, że chciałabym jechać na misję, ale wtedy niestety nie było to możliwe. To były lata pięćdziesiąte, zamknięte granice. Te, które wyjechały do Niemiec miały więcej szczęścia. Do niedawna jedna siostra pracowała jeszcze na Syberii, a dwie nadal służą: jedna w Armenii wśród biednych, a druga w Brazylii. Modłę się o nie codziennie. Inne siostry emerytki z Heiligengrabe cały czas wykonują różne ręczne roboty, które potem sprzedają na bazarze i z tych funduszy utrzymywane są działania misyjne.

I.: Z czego jeszcze utrzymywana był praca misyjna?

S.M.: Brali z Źródła Najwyższego. Zasadą Matki Ewy było nie uzależniać się od ludzi ani nie zaciągać długów. Dzięki temu mogła prowadzić swoją pracę tak, jak Pan Bóg kładł jej na sercu.

Nie musiała uzyskiwać na swoją pracę specjalnych zezwoleń od zwierzchników kościoła czy innych władz, ani nie musiała prowadzić czegoś, co nie licowało z jej wiarą. Nawet, jeśli zjawiał się ktoś z darem, ale stawiał warunki, potrafiła odmówić, choć, jak zawsze w takich sytuacjach, siostry gorliwie się modliły.

I.: Moje ostatnie pytanie dotyczy momentu, gdy nasza znajomość stała się bardziej zażyła. Co skłoniło Siostrę, aby w bardzo osobisty sposób zaangażować się we wspieranie misjonarki BSM, Izy Karpienia?

S.M.: Skoro chciałam kiedyś pójść drogą misyjną, ale Pan mi jej nie darował, to staram się cały czas wspierać innych, przede wszystkim w modlitwie. Z Izą spotkałam się parę lat temu w Dziegielowie i od tej pory korespondujemy. Tak samo codziennie modlę się o pracę Beaty Woźnej, którą miałam okazję spotkać osobiście na wieczorze misyjnym w Bytomiu.

I.: Jesteśmy przekonani, że wasze, starsze pokolenie miało i ma gorące serce dla misji, ale drzwi do niej były zamknięte. Byliście jednak wytrwali w modlitwie i nasze pokolenie ma te drzwi szeroko otwarte. Weszliśmy w drzwi, które Pan otworzył dzięki Waszym modłom.

S.M.: Tak, o misję modliliśmy się wszędzie, także Siostra Aurelia wszczepiła w nas ten nawyk, bo wówczas wiele sióstr pracowało na polach misyjnych. Wyjechały stąd, ale ze względu na sytuację polityczną już nie mogły tu wrócić.

I.: Gdyby tu przed Siostrą stała duża gromada młodych, wierzących ludzi, co chciałaby im Siostra powiedzieć?

S.M.: Powiedziałabym im, gdzie jest cel życia i co uszczęśliwia, nie pieniądze, nie sława, nie wysoki start, ale służba Panu.

Wywiad przeprowadzili A. J. Marcol

* Matka Ewa, red. ks. bp Rudolf Pastucha, tłum. i opr. Anna Sikorska